

Oszubski Tadeusz

Z Coppelią w sercu

Z „Fahrenheit”

*Historia owego automatu głęboko wrosła im w serce,
a nawet przerodziła się w szkaradną nieufność do ludzkiej postaci.*

E. T. A. Hoffmann, "Piaskun"

Urządzenia portowe zgrzytały, trzeszczały, skrzypiały. Mechanizmy dźwigów pracowały na pełnych obrotach, a pod wielkimi ramionami żurawi uwijali się dokerzy, ładując paki żywności i węgiel pod pokład parowca.

Dziewczynka jakby nie dostrzegała tej krzątanimy, nie zwracała uwagi na ogłuszający łomot pracy wielkiej maszyny, jaką stanowił port w Trieście. Stała przy trapie, a rozwichrzone wiatrem włosy otulały jej twarz złocistą pajęczyną. Nie zwracała uwagi na mrowie bagażowych, wnoszących na pokład parowca sterty waliz i toreb podróżnych. Teodor, zanurzony wśród gorączkowej krzątanimy portowego tłumu, nie mógł oprzeć się wrażeniu, iż ma przed sobą kunsztownie wykonaną, porcelanową lalkę. Jasną i gładką, o delikatnie rzeźbionych rysach.

Od chwili, w której zetknęły się spojrzenia, jego i pięknej rówieśniczki, chłopiec doświadczał ekscytujących odczuć. I nie znajdując innego sposobu na wyrażenie emocji, uniósł – tak, by był dobrze z dala widoczny – trzymany w rękę parowiec o bocznych kołach napędowych. Blaszaną zabawkę ze sprężynowym mechanizmem, nakręcaną kluczykiem.

Dziewczynka odpowiedziała, podnosząc swoją lalkę, też mechaniczną, wysoko, ponad głowę. Przypominało to schadzki spiskowców wymieniających tajemne znaki. Choć kontakt pełen był niedomówień, to jednak wzbudził napięcie. Czyżby spotkały się tu pokrewne dusze?

Dziewczynka posłała Teodorowi uśmiech, a potem, przyciskając do piersi lalkę, wsunęła palce w potężną dłoń siwowłosego mężczyzny, który w tamtej chwili wyłonił się z tłumu. Chłopiec dostrzegł jeszcze, że jego rodzice witają się z opiekunem dziewczynki, jak ze starym znajomym. Potem para ta weszła po trapie pasażerskim na pokład statku, a Ossowiccy zajęli się synem i bagażami.

– Trzymaj się mamy, Teodorze, byś nam gdzie w tłumie nie zaginął – rzucił głośno ojciec, przekrzykując portowy gwar. Potem zwrócił się do żony:

– Paszporty już ostemplowane, Zosiu. Przyznać muszę, że wszystko tu, w porcie chodzi, jak w zegarku!

Słowa ojca rozdarły złocistą sieć oczarowania. Przypomniał chłopcu, że przed nim przygoda, największa w jego osiem już lat trwającym życiu – morska podróż na wyspę Capri, gdzie spotkać się mieli ze stryjcem Leopoldem i na czas wakacji zamieszkać w jego willi.

– Wspaniale, Stanisławie. Spieszmy więc, bo odpłyną bez nas – powiedziała matka. Zawsze popierała męża w miejscach i sprawach publicznych, w żadnych okolicznościach nie zapominając, by wizerunek Ossowickich zgodny był z obranym przez Stanisława stanowiskiem.

– Teodorku! Chodź tu natychmiast, bo czas goni! – zawołała, po czym chwyciła zamyślonego chłopca za spoconą dłoń. Lewą ręką ujęła męża pod ramię, po czym dała znak wymarszu dwóm bagażowym, objuczonym ciężkimi kuframi, pudłami na kapelusze oraz futerałem ze skrzypcami Teodora. Ossowiccy mieli już za sobą kontrolę paszportów, mogli więc podjąć wspinaczkę śliskimi stopniami trapu.

Na pokładzie pierwszej klasy czekał kapitan parowca. Wyprostowany był do granic możliwości, w sprzyjającym tej pozycji, doskonale skrojonym mundurze zdobionym galonami. Towarzyszył mu zmęczony intendent z listą pasażerów.

Ujrawszy ich, Teodor odniósł wrażenie, że ma przed sobą ruchome figury powleczone cienką warstwą metalu. Oto strażnicy bramy nieznanego, nagle udostępnionego mu świata. Tu cichł zgiełk portowego nabrzeża. Tu przedpołudniowe słońce ześlizgiwało się po bieli mundurów, a zapach stali, towotu i węglowego dymu stawał się tak intensywny, że niemal materialny.

Oficer, znudzony rutyną obowiązków, z wyraźnym wysiłkiem ułożył rysy twarzy w nowy wzór. Imitację dobrotliwości okraślił uśmiechem. Dopiero tak przygotowany, przemówił:

– Jestem kapitan Eichhorn. Witam na "La Lunie", najbardziej luksusowej jednostce Linii Morskich Brubanksa.

Wyrecytował tę formułę, po czym pochylił się nad stojącym między rodzicami Teodorem i poklepał go po policzku. Chłopiec odpowiedział niepewnym uśmiechem.

– Widzę, żeśmy kolegami. Dowodząc statkami, obaj jesteśmy pierwszymi po Bogu – zażartował z wysiłkiem Eichhorn, wskazując blaszany parowiec chłopca.

– Pański statek jest większy, kapitanie – szepnął w odpowiedzi Teodor. Nie rozumiał dlaczego, jednak w tamtej chwili nagle zbrakło mu śmiałości. A przecież zwykle nie przepuszczał okazji, by popisać się nienaganną znajomością języka niemieckiego. (Jako mieszkaniec miasta Bromberg – tam przy Theaterplatz, od strony Bruckenstrasse, Ossowiccy mieli kamienicę – Teodor był poddanym cesarza Wilhelma II, więc mówił biegle zarówno po polsku, jak i po niemiecku.) Chłopiec szybko jednak odzyskał rezon. Wyjął z kieszeni spodenek kluczyk do nakręcania sprężyny mechanizmu parowca i spytał kapitana "La Luny":

– Też ma pan taki?

Eichhorn w odpowiedzi zaniósł się wymuszonym śmiechem, spoglądając przy tym porozumiewawczo na rodziców chłopca.

– Kiedy urośniesz, będziesz miał duży statek, kawalerze. I duży kluczyk do niejednej zabawki! – oświadczył.

Teodor nie wiedział, co odpowiedzieć, dostrzegł jednak z zaskoczeniem, że w tamtej chwili twarz Zofii Ossowickiej wyrażała zarówno niesmak, jak też smutek. Rozmowa była już jednak zakończona. Kapitan przestał okazywać zainteresowanie chłopcem i jego rodzicami – zajął się następnymi wchodzącymi na pokład pasażerami:

– Witam na pokładzie "La Luny" – szczerką służbistym tonem, po czym błysnął zębami w oficjalnym uśmiechu.

Zofia Ossowicka zacisnęła usta. Teodor pomyślał, że zachowanie kapitana potraktowała chyba jak zniewagę. Oziębłe skinęła Eichhornowi głową w pospiesznym i niedbałym pożegnaniu, po czym ruszyła za

stewardem wskazującym drogę do kajut. Niczym kwoka, roztoczyła opiekę nad stadkiem swych kurcząt: mężem i synem. Przy okazji dostało się bagażowym za opieszalność.

* * *

Teodor stał na pokładzie spacerowym i zaciskał kurczowo palce na relingu. "La Luna" odbijała od nabrzeża. Znajomy świat oddalał się, co wzbudzało lęk zacierający radość z rozpoczynającej się przygody, z pierwszego w życiu pełnomorskiego rejsu.

Urządzenia portowe stawały się coraz mniejsze. Wkrótce i panoramę Triestu przesłonił błękit napływający ze wszystkich stron. Bo niebo u schyłku maja roku 1905 było ultramarynowe i niemal przezroczyste, a wody Adriatyku zaledwie o ton ciemniejsze.

* * *

Jasnowłosa dziewczynka nazywała się Lysetta Coppelius. Podczas sjeisty, w kilka godzin po wypłynięciu z Triestu, Teodor spotkał ją ponownie, tym razem na pokładzie spacerowym.

Lysetta uśmiechała się promiennie, Teodor zaś odczuwał trudne do sformułowania wrażenie obcowania z pięknem wielokrotnionym. Bowiem lalka, z którą dziewczynka się nie rozstawała, miała twarz taką samą jak Lysetta. Nawet rysy drugiej, jeszcze mniejszej laleczki, niespełna trzycalowej, tulonej w ramionach przez większą z zabawek, były wiernym odbiciem wizerunku panienki Coppelius.

Lalki miały główki z porcelany, z kolei poruszające nimi skomplikowane mechanizmy ukryte były pod jedwabnymi sukienkami, w korpusach i kończynach wykonanych z drewna oraz metalu. Większy z androidów potrafił chodzić i pokonywać drobne nierówności podłoża, a także kołysać do snu mniejszą laleczkę – ten mikroskopijny automat umiał jedynie podnosić prawą rączkę i kręcić główką. Aby przydać realizmu zachowaniom zabawek, konstruktor obdarzył większą z lalek umiejętnością wyśpiewywania wdzięcznym głosem nieskomplikowanej piosenki. Lalka Lysetty potrafiła więc niemal tyle, co jej licząca osiem lat właścicielka.

– To jest dusza Olimpii – powiedziała podczas tego spotkania Lysetta, pokazując Teodorowi ozdobny, srebrny kluczyk. – Mój tatuś jest adwokatem i słynnym wynalazcą, a Olimpia i ta maleńka Klara są dziełami jego kochanych rąk.

– A ja dostałem od mojego taty... – powiedział pospiesznie chłopiec, pragnąc podkreślić, że i jemu mechaniczne zabawki nie są obce. Nie dokończył jednak zdania, bo przypomniał sobie, że co prawda, ścisła w dłoni kluczyki ożywiające ulubione zabawki, one same jednak tkwią w walizce. Nie mógł w tej chwili pochwalić się swymi automatami, więc pobiegł po nie do kabiny.

Wkrótce wrócił ze statkiem i pozytywką, jednak choć minęło zaledwie kilka minut, pokład spacerowy zdążył opustoszeć. Lysetty już tam nie było.

Teodor usiadł na jednej z ławeczek, tuląc do piersi blaszany parowiec i pozytywkę, którą cenił najwyżej. Zawsze, gdy wkładał kluczyk w stosowny otwór i sprężyna mechanizmu napinała się z delikatnym zgrzytem, chłopca przeszywał dreszcz. Czuł, że zbliża się do odkrycia jakiejś tajemnicy – strasznej i o ogromnym znaczeniu. Lęk i niepewność pierzchały jednak, gdy pozytywka zaczynała cicho grać romantyczną melodię, a elementy okryte szklaną półkulą ożywały. Cynowa figurka – jak mawiał ojciec, dusza chłopczyka, który był wirtuozem – tak podobna do Teodora, puszczała w ruch smyczek z kości słoniowej, kołysała cynowymi skrzypcami. Ożywały także cztery cynowe kolumny otaczające metalowego grajka. Obracały się wokół własnej osi, poruszając równocześnie rozpiętym nad cynowym chłopcem skrawkiem nieba ze szkła napuszczanego błękitem i bielą.

Patrzył na swe zabawki, czekając na twardej ławce pokładu spacerowego. Minął jednak kwadrans, a Lysetta się nie pojawiła. Stwierdził, że nie będzie dłużej tu siedział, lecz nie wiedział, jak spędzić czas pozostały do czekających go ćwiczeń muzycznych, nadzorowanych przez matkę.

Wstał z ławki, przyciskając do piersi parowiec i pozytywkę, po czym mimowolnie wyruszył na wędrowkę po statku.

* * *

Zszedł na dobrze sobie znany pokład pierwszej klasy. Nie zatrzymywany, przemknął na niższy poziom. Potem, już bez zastanowienia, niczym czerw drążący spróchniałe drewno w poszukiwaniu jądra pęczniejącego życiodajnymi sokami, schodził coraz niżej i niżej. W głąb konstrukcji, ku źródłu energii.

Drgania narastały, stalowe arterie korytarzy wibrowały coraz silniej. Wtedy dopiero, czując dojmujący skwar i zaduch, chłopiec zdał sobie sprawę, że dotarł do trzewi "La Luny".

Podszedł do uchylonych drzwi ze stali. Wabiły skrywaną tajemnicą: dobiegł zza nich łoskot, bił blask. Teodor znów doświadczał obcowania z nieznaną siłą, bowiem czuł dreszcze, jak zawsze, gdy nakręcał mechanizm pozytywki. Nic więc dziwnego, że nie potrafił zapanować nad ciekawością i wszedł w stalowe odrzwia.

Poniżej chłopca, w ogromnej sali wykładanej arkuszami blachy łączonymi nitami, pełgało czerwone, niezdrowe światło bijące z niedomkniętych palenisk. Wielkie maszyny tam pracowały: gigantyczne koła zębate, wały, przekładnie. Takie jak w zegarku ojca, w pozytywce, w blaszanym parowcu. Tyle że olbrzymie były – stokroć, tysiąckroć większe. A pośród nich, w czerwonym blaskiem podszytych gęstych oparach spalanego węgla, woni rozgrzanego metalu i smaru miotały się półnagie postaci. Przypominały dzikie zwierzęta w klatkach, jednak była to diaboliczna menażeria. Chłopiec stwierdził, że stworzenia, które widzi nie mogą być ludźmi – przecież ludzie są ubrani, czyści i metalicznie gładcy. Cóż to za stwory o chropawej skórze, usmolone, cuchnące? Nagle Teodor zrozumiał: trafił do piekła! Matka i ojciec nie raz opowiadali mu piekło, gdzie trafiają dusze grzeszników. Nikt jednak nigdy nie wspomniał, że królestwo diabła ukryte jest pod pokładem "La Luny"! I że demony pilnują sprężyn statku, którego mechanizm nakręca kapitan Eichhorn.

Z przerażeniem, wciąż jednak w bezpiecznej odległości, obserwował pandemonium rozgrywające się w stalowej otchłani poniżej jego stóp. Tajemnicy nie można jednak dotknąć bezkarnie i wkrótce piekło wyciągnęło swe szpony po Teodora: jedno ze stworzeń żyjących pośród żaru spostrzegło chłopca. Zamarło na sekundę, jakby niedowierzając temu, co widzi, po czym szybko i z nieludzką zręcznością ruszyło ku stalowym schodom. Wspinało się ku Teodorowi, łomocząc bosymi stopami po metalowych stopniach.

"Chce mnie rozszarpać i pożreć! A może tak pędzi, bo drzwi są otwarte?!" – przemknęło chłopcu przez myśl. Piekielne stwory są zapewne bestiami przetrzymywanymi za karę w zamknięciu. A teraz on, z braku przezorności, umożliwił im ucieczkę!

Dla uczernionego węglową sadzą stwora pokonanie setki stopni nie było trudne. Istota była coraz bliżej i Teodor pomyślał, że nie ma już dla niego ratunku. Drżąc z lęku, przyciskał do piersi swoje mechaniczne zabawki.

Nagle, potęgując jeszcze przerażenie chłopca, ktoś zacisnął dłoń na jego ramieniu. Teodor poderwał się, nerwy zawibrowały w nim, jak stalowa sprężyna w mechanicznej zabawce. Odwrócił się pospiesznie ku nowemu zagrożeniu, gotów przyjąć najgorsze.

– Nareszcie panicza odnalazłem. Rodzice są bardzo zaniepokojeni – powiedział miłym głosem przybysz, jeszcze mocniej ściskając ramię chłopca.

Teodor miał pewność, że to człowiek – odziany był przecież w biały uniform, czysty i połyskliwy. Jakże różnił się od stworzenia, które nadal uporczywie wspinało się po stalowej drabinie, ścigając chłopca, umykając z piekła ku człowieczemu światu.

Nieskazitelnie ubrany młody mężczyzna podążył wzrokiem za naznaczonym strachem spojrzeniem Teodora. Dostrzegł zbliżającą się demoniczną istotę i bez wahania zasłonił własnym ciałem sparalizowanego strachem chłopca. Uniósł dłoń i krzyknął:

– Wszystko w porządku, Franz! Mam go, możesz wracać do roboty!

Oddalony już jedynie o metr, lśniący od potu i oblepiony sadzą demon usłuchał rozkazu. Zatrzymał się, rozchylił wąskie, czarne wargi i błysnął okrutnym uśmiechem. Potem skinął głową i bez słowa ruszył w drogę powrotną, stalowymi stopniami w czeluść.

Teodor, widząc, jak piekielna istota bez szemrania wykonuje polecenia nowoprzybyłego, pomyślał, że może mężczyzna w białym stroju nie jest człowiekiem, ale Aniołem Stróżem, o którym opowiadała mama przy okazji nauki jednej z modlitw. Zaraz jednak wszystko się wyjaśniło.

– Proszę się nie bać, paniczu. To ja, steward Aldo – szepnął ciepłym tonem biało odziany wybawiciel. – Zaraz pójdziemy do mamy i taty, paniczu.

Wypisany dotąd na twarzy chłopca strach zniknął, jak płatek sadzy otarty najbielszą z batystowych chusteczek.

* * *

Ćwiczenie gry na skrzypcach, potem kolacja, kąpiel i wieczorny pacierz przepłynęły strumieniem codziennej rutyny. Poprzedziły je jednak ostre słowa rodziców, karcących syna za nierozwagę.

Nocą Teodor spał niespokojnie i Zofia Ossowicka kilkakrotnie zaglądała do niewielkiej kajuty pełniącej rolę sypialni jej syna. Chłopiec rzucał się na wąskiej koi. Śnił o kapitanie Eichhornie i jego kluczyku do nakręcania mechanizmów "La Luny". A także o zamkniętych pod pokładem istotach okrutniejszych od zwierząt. Istotach pilnujących sprężyn w piekle z metalu.

* * *

– Wkrótce czas na posiłek – orzekł Stanisław, spoglądając na wskazówki blisko stuletniego, kieszonkowego zegarka, który jak pierścień herbowy przechodził w rodzinie z ojca na syna.

Powiedziawszy kilka tych słów, Ossowicki zsunął na tył głowy melonik i otarł chustką pot z czoła. Czuł się źle za sprawą upału, jak też kołysania statku – podróże morskie mu nie służyły. Mężczyzna poszukał więc ukojenia w rutynie i sięgnął do kieszonki kamizelki po kluczyk uwieszony do srebrnej dewizki. Każdego dnia o tej właśnie porze, z dokładnością co do kwadransa, Stanisław utrzymywał żywotność mechanizmu.

Ossowicki pomyślał o dziecku: że zbyt mało czasu mu poświęca, a przecież Teodor jest ważną częścią jego życia. I życia Zofii. Oboje tak długo nań czekali. Chcieli dziecka w młodości, gdy miłość ich połączyła. Doczekali się go dopiero po latach, ale na szczęście jeszcze w kwiecie wieku, czasie właściwym, by posiadaniem dziecka się nacieszyć.

Stanisław przypomniał sobie, że rola ojca obliguje go do działań wychowawczych, więc przywołał Teodora. Biorąc za przykład obchodzenie się z zegarkiem, podał chłopcu kluczyk i nakazał nakręcić czasomierz. Gdy dziecko wykonało polecenie, Ossowicki zaczął mówić o uchybieniach z dnia poprzedniego.

– Jesteś dzieckiem naszym, Teodorze, i posłuszeństwo nam jesteś winny. Ale miast syna spolegliwego rolę pełnić, ty nieprzemyślanymi postępkami matkę o spazmy przyprawiasz – wykladał surowym tonem Stanisław, patrząc chłopcu w oczy. – Uprzedzam cię, synu, że pod rygorem kary srogiej do końca podróży twoje zachowanie nienagannym być musi. Chodźcie masz, jak w zegarku! Praca mechanizmu, który żeś właśnie nakręcił, niechaj dla ciebie wzorem będzie.

Zakończywszy połajanki, uśmiechnął się do żony, która stanąwszy z boku wszystkiemu się przysłuchiwała. Stanisław, widząc zachwyt malujący się na twarzy Zofii, poczuł, że swój obowiązek spełnił, więc zezwolił Teodorowi pójść – do czasu obiadu – na pokład spacerowy.

Chłopiec nie zwlekał ani chwili. Nie chcąc narażać się ojcu, przeszedł kawałek dostojnym krokiem, jednak gdy tylko skręcił w boczny korytarz, puścił się biegiem na pokład. Tam, ku swej radości, spotkał Lysetę. Wystawiała twarz do słońca w towarzystwie swego ojca, pana Coppeliusa, zamożnego adwokata i wynalazcy z Norymbergii. Coppelius był bardzo popularnym człowiekiem – znali go wszyscy chyba pasażerowie, z rodzicami Teodora włącznie.

Wspólna przechadzka minęła na rozmowach. Pan Coppelius był urodzonym gawędziarzem i zajmująco potrafił rozprawić o mechanizmach. Teodor wiele się tego dnia dowiedział o tajemnicach metalowych trzewi zabawek, zarówno parowca i pozytywki, jak też lalek Lysetty. Niewiele brakowało, a odważyłby się spytać o piekielnych strażników napędu "La Luny", o to, czy w zabawkach też trwa taki nadzór. Rozmowę przerwało jednak nadejście stewarda Aldo, tego, który Teodora wybawił z opresji. Zegar wskazywał już wpół do pierwszej i steward przypomniał, że czas, aby podróżnicy zeszli z pokładu pachnącego słonym wiatrem Adriatyku – w oprawionej kryształowymi lustrami i żyrandolami jadalni podano obiad.

* * *

Teodor nie jadał wiele – ot, kilka kęsków i łyk wody – więc po obiedzie należał do pierwszych, którzy opuszczali salony "La Luny". Gdy wychodził, kobiety nadal komplementowały kuchnię i obsługę, panowie zaś wybierali się do palarni. Chłopca nikt więc nie nadzorował i mógł beztrudno biegać opustoszałymi korytarzami.

Teodor zamknął oczy i puścił się pędem przez wykładaną drewnem przestrzeń. Wyobrażał sobie, że jest w głębinach kadłuba parowca, że bohatercko naciera na piekielne stwory. Zabawa ta szybko się jednak skończyła – chłopiec zderzył się z mężczyzną wychodzącym ze służbowej kajuty.

Człowiek zaklął brzydko i chwycił się za łydkę, w którą Teodor trafił czubkiem buta – precyzyjnie, choć nieumyślnie. Potem rozejrzał się pospiesznie dokoła, a widząc w korytarzu jedynie chłopca, posłał mu spojrzenie pełne wściekłości i szepnął po niemiecku:

– Uważaj, chłopczyku. Nie kop ludzi, bo się zepsujesz.

Teodor rozpoznał go – był to lekarz okrętowy o nazwisku Spalanzani.

Przerażony, że lekarz doniesie na niego rodzicom, zaczął mamrotać pełne skruchy przeprosiny, jednak Spalanzani go nie słuchał. Spojrzał poprzez Teodora, jakby ten był przezroczysty, jakby nie był człowiekiem, lecz przedmiotem, po czym szybkim krokiem się oddalił.

Gdy lekarz okrętowy znikł za zakrętem korytarza, chłopiec ruszył przed siebie powoli, ze spuszczoną głową. Lecz minęło kilka minut i otrząsnął się z przynębnienia, zapominając o niedawnej przygodzie. Znow pognął przez korytarze. Celem był pokład spacerowy, gdzie, na co Teodor miał nadzieję, spotka znów Lysetę Coppelius. Cóż, trudno o lepsze towarzystwo dla ośmiolatka – Lysetta i Teodor byli jedynymi dziećmi na pokładzie w tym rejsie "La Luny". Chłopiec musiał jednak czekać godzinę z okładem, nim dziewczynka przyszła z ojcem zażyć świeżego powietrza.

Coś musiało się wydarzyć, coś złego. Lysetta, przyciskając do piersi swoje mechaniczne lalki, szła drobnym kroczeniem, powolutku. Rozmawiała z chłopcem szeptem, cedząc słowa. Choć twarz jej nie wyrażała bólu, to jednak zachowanie wskazywało, że każdy ruch, każdy wdech i wydech stanowiły kolosalny wysiłek. Kilkakrotnie paroksyzm suchego, ostrego kaszlu wstrząsał jej drobnym ciałem. Raz nawet coś pocięło dziewczynce z ust, ale zatuszowała ten fakt, kryjąc twarz w batystowej chusteczce.

Po kwadransie pan Coppelius powiedział, że musi przynieść córce lekarstwo z kabiny i że za chwilę wróci. Opuścił dzieci, a te, same na pokładzie spacerowym, ruszyły wolnym krokiem w kierunku dziobu parowca.

Lysetta uśmiechnęła się do Teodora. Otworzyła usta – chciała coś powiedzieć. Jednak miast słów spomiędzy jej warg popłynął charkot. Dziewczynka gwałtownie rozpostarła ręce. Mechaniczne lalki, dotąd ściskane przez nią w ramionach, upadły z brzękiem na deski pokładu.

Chłopiec zadrżał, odskoczył od Lysetty. Dziewczynka zaś jęknęła głucho i bez przytomności osunęła się u jego stóp. W miejscu tak spokojnym, bo odludnym, przerażony Teodor z bezradnością patrzył na bladą twarz Lysetty, na drobne ciało otulone pianą jedwabnych tkanin.

Nastała długa chwila absolutnej ciszy. Cóż miał zrobić? Cóż mógł zrobić?! Był tylko ośmioletnim chłopcem...

Coś zachrobotało, brzęknęło. Spomiędzy koronek i fałd sukni wytoczyło się błyszczące kółko zębate. Za nim następne. Szczęknęły zapadki. Czy to stalowe sprężyny rozwijały się z budzącym dreszcz sykiem? Nagle lawina mutr, trybów, sworzni i nieznanymi chłopcu rozmaitych części jakiegoś automatu, potoczyła się z grzechotem po pokładzie.

"Lysetta się zepsuła?!" – pomyślał w pierwszej chwili Teodor i od tego wniosku nie mógł się uwolnić. W tamtej chwili ciało dziewczynki zachowywało się jak zepsuta maszyna. Ręce i nogi córki Coppeliusa zadrżały nienaturalnie usztywnione w stawach, po czym zaczęły gwałtownie uderzać o deski pokładu. Trwało to kilkanaście sekund, wreszcie kończyny zamarły w bezruchu. "Jak u lalki, kiedy energia rozwijającej się sprężyny ulegnie wyczerpaniu" – myślał dalej Teodor. Z trudem wszystko, co ujrzał, łączył w spójny obraz. Wkrótce zresztą szczegóły przemieszały się z okrzykami ludzi, którzy do dzieci podbiegli, z ruchem wielu postaci przesłaniających ciało dziewczynki.

Świadomość odzyskał, gdy podeszli do niego rodzice i pospiesznie wyprowadzili z miejsca wypadku. Opuszczając pokład spacerowy, Teodor obejrzał się przez ramię. Dziewczynki już na deskach nie było. W miejscu tym jednak połyskiwał – srebrzysty od śródziemnomorskiego słońca – stos metalowych części. Chłopcu przemknęło przez myśl pytanie: Czy te szczątki mechanizmu wszystkim były, co pozostało z Lysetty?

* * *

Tuż przed kolacją Teodorowi udało się wymknąć się spod kurateli rodziców. Popędził do kabiny Coppeliusów, ale go tam nie wpuszczono. Steward czuwający przy drzwiach oświadczył, że panienska Lysetta zapadła na zdrowiu i nie należy jej niepokoić. Jednak chłopiec nawet przez zamknięte drzwi słyszał dobiegające z kabiny podniesione męskie głosy i stanowiące dla nich tło niepokojące dźwięki – jakby brzęk uderzających o siebie narzędzi ślusarskich, chrobot i zgrzyt dartego metalu.

Teodor wykazał się niezwykłą cierpliwością, co zostało nagrodzone. Bo gdy wreszcie ludzie z kabiny wyszli – był to Coppelius i doktor Spalanzani – steward poprowadził ich do okrętowej jadalni na wieczorny posiłek. Nikt drzwi już nie pilnował, więc Teodor mógł cichcem dostać się do kajuty.

Lysetta leżała w bezruchu na koi.

Dotknął jej chłodnej twarzy, jak z porcelany, jej włosów wyglądających w świetle lampy naftowej na sztuczne. Potem zacisnął palce na przegubie szczupłej ręki dziewczynki. Pod opuszkami nie wyczuł ciepła,

ani ruchu krwi w arteriach. Była tylko niepokojąca twardość kości, opiętych skórą mięśni, które nie przypominały ciała dziecka, lecz wyroby ze stali.

– Nie jesteś prawdziwa, Lysetto? – spytał szeptem.

Oderwał wzrok od córki Coppeliusa, czy raczej od tego, co on za swą latorośl podawał. Obok łóżka, na podłodze, leżały szczątki lalek dziewczynki. Zabawek automatycznych, wielce finezyjnych. Przypatrując się ich twarzom z porcelany, chłopiec upewnił się, że Lysetta tylko wielkością i skomplikowaniem mechanizmu różniła się od tych dzieł Coppeliusa. Teodor wiedział już, że ma przed sobą nie dziewczynkę i jej dwie laleczki, lecz udające ludzi androidy. Trzy córki Coppeliusa: Coppelie. Trzy zabawki straszego człowieka.

* * *

Ossowicki był wzburzony. Stwierdził, że tego dnia Teodor znów był niegrzeczny. Chłopiec opuszcza kolację, włóczy się nie wiadomo gdzie i nie stawia się w terminie, by ćwiczyć grę na skrzypcach. Według słów Stanisława, takie zachowanie prowadziło cały świat ku złemu, bo nic w nim już nie chodziło, jak w zegarku.

Teodora najpierw zrugano, potem zaciągnięto do kabiny, gdzie miał, jak każdego wieczoru przed snem odmówić modlitwę. W tamtej chwili, uklękawszy już i złożwszy dłonie, Teodor spytał matkę, czy to nocą, kiedy się śpi, przychodzi Pan Bóg, by nakręcać ludziom sprężynki. Zofia ofuknęła go w odpowiedzi i, nie wyjaśniając kwestii, odeszła z posepnym wyrazem twarzy. Chłopiec odczytał to jako znak, że ma do czynienia z tajemnicą, która ma być przed nim bezwzględnie zakryta.

Teodor zacisnął powieki, udając, że śpi. Zastanawiał się, czy nakręca go Pan Bóg, czy raczej ojciec. A może to zajęcie Coppeliusa? Wszak rodzicom twórca Lysetty był dobrze znany.

Leżał tak, rozmyślając godzinami. Starał się nie zasnąć. Coraz bardziej rozgorączkowany chciał ustalić, co dzieje się nocą. Czy gdy dzieci zasypiają, ich ojcowie przychodzą ukradkiem, z kluczami, jak od zegarków, ścisłymi w dłoniach. Wciąż myślał o Lysetcie. Myślał o sobie. O wszystkich dzieciach. Nie chciał być maszyną. Nie chciał być zabawką, jak blaszany parowiec, jak pozytywka. Jak Lysetta.

Minęła północ. Rodzice dawno już ucichli w swojej sypialni. Teodor, nie doczekał się potajemnej wizyty ojca. Zwlókł się z koi i na równi zdesperowany i zrozpaczony zakradł się do kabiny pełniącej rolę salonu podróznego apartamentu Ossowickich. Nie szukał długo – klucz od ojcowskiego zegarka tkwił przy dewizce, w kamizelce rozwieszanej na oparciu krzesła. Chłopiec wrócił do swojej kabiny, otworzył bulaj i wyrzucił klucz od zegarka do morza.

Godziny płynęły, a on siedział na łóżku. Wsłuchiwał się w ledwie wyczuwalne dźwięki sprężyny, która coraz wolniej i wolniej rozwijała się we wnętrzu mechanizmu, ukryta w ciele Teodora. W każdym dziecku.

Sięgnął po pozytywkę i nakręcił ją po raz ostatni. Klucz do tego mechanizmu również wyrzucił przez okrągłe okienko, w czarne jak sadza wody Adriatyku. Teodor płakał i śmiał się, na zmianę, patrząc na zabawkę. Obserwował ruchy małego chłopca z metalu, wykonywane przez niego szybkie pociągnięcia smyczką po cynowym instrumencie. Patrzył na powolny taniec kolumn dźwigających nad skrzypkiem szklany firmament. Zastanawiał się, jak to będzie, kiedy już nikt nigdy nie nakręci mechanizmu, nie napnie sprężynki ukrytej we wnętrzu.

Teodor pragnął zepsuć się, jak Lysetta, jak wszystkie Coppelie. Nie czuł już przed tym strachu – Coppelie były przecież jego siostrami! Dziwiło go jednak, że rozpacz może być prawdziwa, nawet jeśli zrodziła się nie w człowieku z krwi i kości, lecz pośród tworzących androida trybików, mutr i sprężyn.

Dlaczego Lysetta się zepsuła? Czy to świat się kończył? Czy już konstruktorom automatów dierzących kluczyki do nakręcania dusz znudziły się ich zabawki?!

W oczadziałym gorączką umyśle Teodora rozbłysło nagle wspomnienie słów kapitana Eichhorna: "Jesteśmy pierwszymi po Bogu". Oczywiście, to Eichhorn dzierżył klucz ożywiający sekretne mechanizmy "La Luny". Kto jednak pilnował wszystkich urządzeń, no i diabłów, co pod pokładem oliwki machinę? "Ani chybi, doktor Spalanzani!" – myśl ta olśniła Teodora.

* * *

Otworzył oczy. Wokół było jasno, jak za dnia, bo w kajucie paliło się wiele lamp. Usłyszał głosy – najpierw ojca, potem doktora. Wtedy poczuł ból w piersi. Przestraszył się. Myślał, że to chwila ostatnia, że zatrzymuje się jego mechanizm, bo ani ojciec, ani też Spalanzani go nie nakręcili. Nie znaleźli przecież kluczyka, który nocą wyrzucił do morza.

Stanisław Ossowicki pytał z niepokojem:

– Co znaczy ta gorączka, ta bezprzytomność, doktorze? Czy syna mego i córkę Coppeliusa te same bakcyle zmogły?

Spalanzani odparł na to:

– Herr Ossowicki, wedle mojego rozeznania, mamy w obu przypadkach z influencą do czynienia. Wyciągniemy dzieci z tego.

Odpowiedź doktora przyniosła Teodorowi istotne wyjaśnienie. Oto poznał słowo określające stan jego egzystencji. Bo słowo śmierć mogło odnosić się tylko do ludzi prawdziwych. Automaty zaś, jeśli im duszy nie nakręceno kluczykiem, popadały w inny stan – w influencę.

Teodor otworzył szeroko oczy. Spojrzał na rodziców pochylających się nad nim z zatroskanymi twarzami. Z goryczą zdał sobie sprawę, że zabawki wyboru nie mają. I on, i Lysetta, i Olimpia, i blaszany parowiec, i pozytywka, i Klara, i wszystkie, ale to wszystkie zabawki i dzieci, jeśli zepsują się, to Coppelius ze Spalanzanim je naprawią. Zakradną się obaj cichaczem i w mechanizmach pod skórą zmieniają, co trzeba.

Na nic wyrzucanie kluczyka, zawsze nowy w jego miejsce ślusarz za parę fenigów dorobi. Bo właściciel, kiedy tylko zechce, może to, co jego, zbudzić do mechanicznego życia.

Teodor usiadł na łóżku. Milczał, bo nic tu nie było do powiedzenia. Z wysiłkiem podniósł ręce, przybliżył dłonie do oczu. Zobaczył, że skóra błyszczy w słońcu metalicznie. Potem usłyszał, że sprężynka w piersi rozwija się z cichym szelestem, tryby i koła zębate prawie niesłyszalnie zgrzytają, a w tle mechanizmy "La Luny", których Teodor stał się teraz częścią, łomoczą potężnie.

Parowiec, duża zabawka prawdziwych ludzi, sunął po ciepłych, gładkich jak oliwa, wodach Adriatyku i nim rejs się skończył, Teodor powrócił do zdrowia. Lysetty jednak już nie zobaczył. Od tamtego czasu starał się nie myśleć o sekretnych napędach ciał. Czasem tylko, gdy bezwolnie – bo wzbraniał się przed tym! – wspominał trzy Coppelie, czuł, że w piersi napina mu się mocno sprężynka i koła zębate obracają się nazbyt pospiesznie. Wtedy, aż po duszę, zgrzytał w nim ból. Działo się tak z dnia na dzień rzadziej, ale – póki mu po latach serce zużyte nie pękło – pamiętał.